



DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ III

Zbrodnie ukraińskie

- To się nazywa ludobójstwo straszliwe
- Samogonem opijali „zwycięstwo”...
- Zbrodnia i ocalenie na plebanii
- Uciekłem śmierci spod topora...



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest minister sprawiedliwości

Organizatorzy:

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

Spis treści

IV–V

LUDOBÓJSTWO STRASZLIWE

Ewa Siemaszko i Maciej Rosalak

To, co się tam wydarzyło, uprawnia do określenia zbrodni wołyńskiej jako genocidum atrox, czyli ludobójstwo straszliwe, dzikie, okrutne

VI

UPA – STRUKTURY ZBRODNI

Maciej Rosalak

Złowroga UPA – ukraińska Powstańcza Armia – wyrosła jako zbrojne ramię OUN. Tradycja sięgała do krwawego terroru szerzonego już w II RP

VIII–X

WOŁYŃ TRUPICH PÓŁ

Piotr Zychowicz

Żadne zbrodnie na narodzie polskim nie przybrały tak makabrycznej, tak mroźnej krwi w żyłach formy jak ludobójstwo na Wołyniu

XII–XIV

DRAMAT W KISIELINIE

Tomasz Stańczyk

Nieprzypadkowo UPA wybrała niedzielę, gdy Polacy brali udział we mszy świętej. Banderowcom wystarczyło podejść pod kościół...

XV–XVII

OCALONY Z CHRYNOWA

Zygmunt Maguza i Piotr Włoczyk

„Dziadek leżał na podłodze na prawo od drzwi. Właściwie nie było widać głowy, była jakby wbita siekiera w ciało, w płuca”



REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący),
Włodzimierz Zakrzewski (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**,
Przemysław Traczyk
Korekta: **Anna Zalewska**
Okładka: **IPN**



Geneza zbrodni OUN



Miasteczko Bereźne w powiecie kostopolskim, Pogrzeb zamordowanych przez UPA mieszkańców kolonii Zalesie

FOT. ZBIGNIEW SIEMASZKO

Kozacy Bohdana Chmielnickiego kierowali się w połowie XVII w. ideologią równie wyrafinowaną jak budowa cepa: wyróżnąc wszystkich Lachów, księży katolickich i Żydów! Niespełna trzy stulecia później ich następcy z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów dokonali wyteżonej pracy myślowej i stworzyli konstrukcję dostosowaną do zmienionych warunków dziejowych, a mianowicie księży przesunęli do kategorii wszystkich Lachów, a dodali moskiewską komunę. W ich śpiewnym języku nowe hasło brzmiało: „Śmierć lachom, żydom i moskowskiej komunie!”. Mordy wiązały się z zadawaniem ofiarom wyjątkowo strasznych męczarni, co nie zmieniało się od wzięcia Baru w 1648 r. poprzez tragedię Humania w 1768 r. aż do rzezi Wołynia w 1943 r.

OUN, która powstała w 1929 r. na zjeździe radykalnych nacjonalistów w Wiedniu, wykorzystała tezy wzięte z „Nacjonalizmu” Dmytro Doncowa, napisanego trzy lata wcześniej. Autor (notabene doktor prawa Uniwersytetu Lwowskiego) akurat wtedy był owładnięty ideami wodza, narodu, bezpardonowej walki o byt przenoszonych na grunt ludzkiej cywilizacji oraz stosowania wszelkich metod prowadzących do państwowości Ukrainy. Na pewno czytał wcześniej Mussoliniego i Hitlera, bo ich teksty tłumaczył na język ukraiński. „Nacjonalizm” z 1926 r. został wykorzystany do stworzenia podstaw ideologii OUN – swego rodzaju faszyzmu polegającego na ujarzmieniu własnego narodu i przemocy wobec innych.

Podstawy tej ideologii uzupełniono pismami Mykoły Sciborskiego, a zwłaszcza „Nacjokracją” z 1935 r. W przeciwieństwie do Doncowa, który pozostał niezależny politycznie, Sciborski był jednym z założycieli OUN, a wybrany do Prowidu, czyli zarządu organizacji, kierował jej referatem politycznym. W 1939 r. na zlecenie Andrija Melnyka – ówczesnego prowidnyka (przewodniczącego) OUN – przygotował projekt konstytucji Ukrainy, którą określał jako państwo suwerenne, autorytarne, totalitarne i zawodowo-stanowe. Już w 1929 r. teorie Doncowa i Sciborskiego wykorzystywano w nacjonalistycznych pismach propagandowych, które z kolei już bez nieudomówień określały Polaków i Żydów jako element, który należy zniszczyć.

To samo sugerował wydany wtedy „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty”, którego tekst ułożył Stepan Łenkawski, a motto ułożył Doncow:

- „Ja – Duch odwiecznej walki, który uchronił Ciebie od potopu tatarskiego i postawił między dwoma światami, nakazuję nowe życie:
1. Zdobędziesz państwo ukraińskie albo zginiesz, walcząc o nie.
 2. Nie pozwolisz nikomu plamić sławy ani czci Twego Narodu.
 3. Pamiętaj o wielkich dniach naszej walki wyzwoleniczej.
 4. Bądź dumny z tego, że jesteś spadkobiercą walki o chwałę Trójzęba Włodzimierzowego.
 5. Pomścij śmierć Wielkich Rycerzy.
 6. O sprawie nie rozmawiaj, z kim można, ale z tym, z kim trzeba.
 7. Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy.
 8. Nienawiścią oraz podstępem będziesz przyjmował wrogów Twego Narodu.
 9. Ani prośby, ani groźby, tortury, ani śmierć nie zmuszą Cię do wyjawienia tajemnic.
 10. Będziesz dążył do rozszerzenia siły, sławy, bogactwa i obszaru państwa ukraińskiego nawet drogą ujarzmienia cudzoziemców”.

„Największe zbrodnie, nienawiść, podstęp i ujarzmianie cudzoziemców” – rychło doświadczyliśmy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej realizacją owego „dekalogu”, który z Bożym zaiste niewiele miał wspólnego... ©©

Maciej Rosalak



Pomordowani w Lipnikach,
powiat kostopolski

FOT. IPN



Z Ewą Siemaszko
rozmawia Maciej Rosalak

To było ludobójstwo straszliwe

MACIEJ ROSALAK: O zabijaniu Polaków przez Ukraińców na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej mówi się: rzeź, mord, zbrodnia wojenna. Pani używa bodaj najbardziej pejoratywnego, a jednocześnie ściśle określonego terminu: ludobójstwo. Dlaczego?

EWA SIEMASZKO: Celem zbrodni było usunięcie Polaków z tamtych terenów. Zwracają uwagę organizacja mordów, ich przebieg, zasięg terytorialny i rozmiary oraz propagowana przy tym ideologia nawołująca do biologicznego wyniszczenia Polaków jako grupy narodowościowej. To wszystko niezbicie świadczy o tym, że była to zamierzona i zorganizowana akcja fizycznej eksterminacji ludności polskiej na tle narodowościowym – w świetle Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, uchwalonej przez ONZ w grudniu 1948 r. – kwalifikowana jako ludobójstwo.

Do najważniejszych czynów popełnianych na Polakach w celu ich zniszczenia, wymienianych w definicji ludobójstwa, należą: zabójstwa oraz trwałe uszkodzenia ciała i psychiki tych, którym udało się uciec z życiem. Z kolei powszechność okrucieństwa, którym sprawcy ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce z OUN i UPA (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów

i Ukraińskiej Powstańczej Armii) poddawali swe polskie ofiary niezależnie od wieku i płci, a więc nawet dzieci, uprawnia do specjalnego określenia tej zbrodni jako genocidum atrox, czyli ludobójstwo straszliwe, dzikie, okrutne. Było też usuwanie cywilizacji, do której należały ofiary i którą wcześniej wprowadzały tam przez kilka wieków.

Ludobójstwo w znaczeniu prawnym, ale i powszechnie stosowanym w naukach społecznych – a więc zabijanie, stwarzanie warunków prowadzących do śmierci i kalectwa oraz wynaradawianie – spotkały Polaków podczas II wojny światowej również ze strony Niemców i Sowietów.

O ludobójstwie ze strony Ukraińców świadczą rozkazy wydawane przez OUN-UPA, mówiące też o zabijaniu tych Polaków, którzy nie zechcą się wynieść...

Dokładnie takie rozkazy wydano w 1944 r. w Małopolsce Wschodniej, gdzie ludności polskiej było znacznie więcej i była lepiej zorganizowana niż na Wołyniu. Tam były rozrzucone ulotki wzywające Polaków do wyjazdu, z groźbą śmierci w razie niezastosowania się do nakazu. Na Wołyniu takich rozkazów nie było, tam dążono do wymordowania wszystkich

Polaków. Stosowano podstęp, aby ująć uciekających. Były przypadki namawiania uchodźców w miastach, by powrócili do swych gospodarstw, gwarantując im bezpieczeństwo, a potem ich mordowano. Nacjonalistom ukraińskim nie wystarczyło, że Polacy opuścili swoją ziemię, chcieli uniemożliwić ich powrót w przyszłości.

Nie udało się wszystkich wymordować. Uciekinierzy zatrzymywali się w miastach i miasteczkach, gdzie obecność Niemców odstraszała UPA, następnie – jeśli nie mogli się tam zatrzymać – byli wywożeni na roboty do Rzeszy albo przenosili się do Generalnego Gubernatorstwa.

Tych, którzy schronili się we Lwowie albo w innych większych miastach galicyjskich, czekało zresztą później wygnanie przez Sowietów.

Jakie znaczenie dla ludobójstwa dokonywanego na Polakach miało wcześniejsze ludobójstwo Żydów, przeprowadzane z udziałem Ukraińców na tych samych terenach?

Nienawiść do Żydów szerzona tak samo jak do Polaków. Kiedy w 1941 r. okupację sowiecką zastąpiła okupacja niemiecka, zdominowane przez OUN formacje policyjne podległe Niemcom śpiewały piosenkę ze słowami: „Śmierć,



Partyzanci UPA FOT. OSRODEK KARTA

śmierć, Lachom śmierć / Śmierć żydowskiej komunie". To był jeden z przejawów zamierzeń OUN: wymordowania jednej i drugiej nacji. Oczywiście sprawcami zagłady ludności żydowskiej byli Niemcy, ale z ogromną pomocą policji ukraińskiej i licznych Ukraińców nienależących do tej formacji, którzy wyłapywali, a nawet sami zabijali Żydów. W Holokauście Żydów w 1942 r. brali udział policjanci ukraińscy, którzy w 1943 r. przeszli do UPA i masowo mordowali naszych rodaków. Znamienne, że podczas ludobójstwa Żydów do Polaków docierały pogrozki: „Teraz z Żydami, a potem to samo zrobimy z Polakami”. To wskazuje na długofalowy plan...

Holokaust stał się dla Ukraińców przykładem, że można dokonywać masowych zbrodni bezkarnie i jest to nawet sankcjonowane przez państwo lub organizację. Moralne spustoszenie wśród tych, którzy patrzyli na te zbrodnie czy brali w nich udział, ułatwiło później mordowanie Polaków.

Czy sąsiedzi są bardziej skłonni do ludobójstwa niż najeźdźcy z oddali?

Sądzę, że nie, bo nie tylko sąsiedzi żyjący od pokoleń popełniali zbrodnie ludobójstwa. Przede wszystkim, aby sąsiad rzucał się na sąsiada, musi być do tego odpowiednio przygotowany. Na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej hasła do mordów nie rzucono nagle. Przysposabianie psychiczne ludności trwało długo. Nienawiść do Polaków OUN szączyła od początku lat 30. Świadkowie rzezi mówią wprawdzie, że dobre stosunki z sąsiadami trwały niekiedy do ostatniej chwili, ale też pojawiały

się symptomy, że wśród Ukraińców dzieje się coś niedobrego: zdarzały się pogrozki, pobicia, szykany, unikanie rozmów, zaprzestawianie zabaw z dziećmi polskimi. Ten proces z czasem narastał...

Być może, że na omawianych przez nas terenach nastąpiło zahamowanie rozwoju społecznego i stąd powtarzanie zbrodniczych zachowań, zwłaszcza jeśli ktoś do nich podszczuje.

Czy przejawia się w tym kompleks wywołany przez wielowiekowy brak własnego państwa?

Istotnie, kompleks ukraiński wynika z faktu, że ten naród nie potrafił przez wieki stworzyć i utrzymać własnego państwa. Tymczasem sąsiedzi mieli państwa, a niektórzy – tak jak my – nawet je tracąc, umieli jednak je odzyskać i utrzymać. Dotyczy to szczególnie okresu po I wojnie światowej.

Mieli poczucie krzywdy przez nas wyrządzonej? Że to my zabraliśmy im państwo?

Tak to sobie wyobrażali. Jednak w latach 1918–1920, kiedy podczas rewolucji bolszewickiej mieli szansę oderwania się od Imperium Rosyjskiego, jej nie wykorzystali. Przecież nawet Petlura nie był w stanie zmobilizować odpowiedniej liczby Ukraińców do swego wojska i przeciwstawić się bolszewikom razem z Piłsudskim. Elity czuły się pokrzywdzone, ale nie cały lud uważał, że jest mu potrzebne ukraińskie państwo. Z różnych dokumentów OUN wynika, że inteligencja ukraińska chciała różnymi sposobami zmusić lud, aby za nią poszedł. I niecałe społeczeństwo chciało tego co OUN, czyli

zdobywania własnego państwa metodą masowych zbrodni.

Ukraińcy obarczają Polaków odpowiedzialnością za równie krwawe pacyfikacje wsi ukraińskich. Czy słusznie?

Przypadków pacyfikacji wsi ukraińskich było niewiele i stanowiły one reakcję na ogromne zbrodnie popełnione przez Ukraińców. Odwetowe emocje wśród polskich partyzantów można zrozumieć, choć oczywiście trudno je usprawiedliwić. Do czasu rzezi lipcowych w 1943 r. nie działał zresztą żaden polski oddział partyzancki. Organizowaliśmy jedynie lokalne samoobrony, stopniowo wyrzynane przez napastników. Natomiast w drugiej połowie 1943 r. nasze oddziały partyzanckie krążyły wokół kilku naszych baz obronnych i czasem likwidowały UPA we wsiach sąsiednich, a przy tym mogli ginąć również nienależący do UPA Ukraińcy. Jedynie kobiety i dzieci można uznać za niewinne ofiary, choć znane są też przypadki dobijania rannych przez Ukrainki i podpalania domostw przez ukraińskie wyrostki, a nawet dzieci.

Na samym Wołyniu wymordowano ok. 60 tys. Polaków, natomiast w akcjach odwetowych Armii Krajowej zginęło powyżej 2 tys. Ukraińców. Natomiast strona ukraińska przypisuje Armii Krajowej działania Schutzmannschaft, czyli tzw. policji polskiej, która została zorganizowana przez Niemców po rzeziach i po ucieczce policji ukraińskiej do UPA. Komendant Okręgu Wołyńskiego AK wydał wprawdzie rozkaz, aby Polacy nie wstępowali do policji, ale struktury Armii Krajowej nie były tam tak rozbudowane, aby mieć wpływ na wszystkich Polaków. Dla wielu z nich był to zresztą jedyny sposób, aby dostać broń i uchronić się przed tragicznym losem. Niemcy wykorzystywali ich do akcji pacyfikacyjnych, ale to już nie są „zbrodnie Armii Krajowej”, tylko niemieckie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Ewa Siemaszko – badaczka stosunków polsko-ukraińskich podczas II wojny światowej i w latach powojennych, współautorka wraz z ojcem Władysławem Siemaszką dwutomowej pracy „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”, a także licznych publikacji na ten temat.

Struktury zbrodni



Maciej Rosalak

Złowroga dla Polaków UPA – Ukraińska Powstańcza Armia – wyrosła jako zbrojne ramię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Tradycja sięgała nie tylko nacjonalistycznej ideologii OUN, lecz także krwawego terroru szerzonego już w II RP

W latach 1921–1939 ukraińskie podziemie nacjonalistyczne przeprowadziło 63 zamachy, w których zginęło 36 Ukraińców i 25 Polaków sprzyjających ukraińsko-polskiemu porozumieniu (m.in. poseł Tadeusz Hołówko i minister Bronisław Pieracki), jeden Rosjanin i jeden Żyd. Szacuje się, że w latach 1929–1939 przeszło przez szeregi OUN ok. 20 tys. ludzi.

Najwyższą władzą OUN był Wielki Kongres, na którym delegaci wybierali organ wykonawczy – Główny Prowid (zarząd) i Krajową Egzekutywę sprawującą władzę między kongresami, z prowidnykiem (przewodniczącym) na czele. Skrajny nacjonalista Stepan Bandera rządził od stycznia 1933 do czerwca 1934 r., gdy go aresztowano i skazano na dożywocie w procesie o zabójstwo ministra Pierackiego. Właśnie w tym okresie bojówki dokonywały najwięcej aktów terroru.

Następnym szczeblem organizacyjnym były Kraje, przy czym najprężniejsze były dwa, które obejmowały tereny w Polsce: Małopolskę Wschodnią (Kraj II) oraz Wołyń, południowe Polesie, Chełmszczyznę, Podlasie Lubelskie (Kraj III). Każdy Kraj dzielił się na okręgi, których w całej strukturze OUN było 12. Te z kolei dzieliły się na nadrejonowy złożone z kilku rejonów każdy. Wszędzie na czele stali prowidnicy odpowiedniego szczebla. Jeszcze niżej był kuszcz złożony z kilku wsi, a na samym dole – stacja obejmująca jedną wieś bądź dwie.

Nacjonaści ukraińscy pokazali, na co ich stać, we wrześniu 1939 r., kiedy 7,5 tys. z nich wspólnie z komunistami mordowało polskich żołnierzy i mieszkańców. Zginęło wtedy 2 tys. Polaków, spalono cztery polskie miejscowości. Padło 160 OUN-owców. Kiedy na początku kwietnia 1940 r. okazało się, że Niemcy nie mają zamiaru tolerować



państwa ukraińskiego, doszło do rozłamu w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Zwolennicy utrzymania ścisłej współpracy z Niemcami zgrupowali się wokół Andrija Melnyka (zresztą agenta Abwehry) i utworzyli tzw. OUN-M. Natomiast pod przewodnictwem wypuszczonego z więzienia w Brześciu Stepana Bandery powstała OUN-B, która większą wagę przywiązywała do tworzenia siły zbrojnej i do działań ekstremistycznych. Tak powstały Krajowy Sztab Wojskowy i Wojskowy Ośrodek OUN.

Po najeździe III Rzeszy na ZSRS obie frakcje prześcigały się we współdziałaniu z Niemcami w zagładzie Żydów. Aktywiści OUN-B rozlepiali w przededniu pogromu we Lwowie plakaty z hasłem: „Narodzie – wiedzy! Moskwa, Polska, Węgry, żydostwo – twój wróg. Niszcz ich!”. Kiedy mimo to Niemcy zlekceważyli dążenie ku „samostijnej Ukrainie”, Bandera przeszedł do opozycji wobec nich i tworzenia własnych oddziałów partyzanckich. We wrześniu 1941 r. został aresztowany i osadzony w Sachsenhausen (włos z głowy mu zresztą nie spadł).

14 października 1942 r. – w Święto Szaty (Pokrowy) Najświętszej Marii Panny – konferencja referentów wojskowych obwodowych prowidów OUN-B powołała siłę zbrojną, która nazywała się wtedy Wojskowe Oddziały OUN-SD (Samostijniki

Derżawniki). Wiosną następnego roku liczyły one kilka tysięcy żołnierzy, złowrogich głównie dla Polaków. Ich dowódcą został Dmytro Kłaczewski „Kłym Sawur”, rychło naczelnym katem ludności polskiej na Wołyniu. W Małopolsce Wschodniej siły banderowców nazywały się na początku Ukraińską Narodową Samoobroną. Jedną nazwą – Ukraińskiej Powstańczej Armii – wszystkie oddziały zostały objęte pod koniec 1943 r.

W tym czasie ukształtowała się też struktura UPA – na znacznym obszarze nadal pod komendą Dmytro Kłaczewskiego, ale pod zwierzchnictwem politycznym i wojskowym Romana Szuchewycza, prowidnyka OUN-B, mianowanego „generałem”, niedawno jeszcze żołdaka batalionu „Nachtigal” i niemieckiego schutzmanna. Utworzono cztery okręgi wojskowe (WO – Wijskowa Okruha):

- Zahrawa – obejmująca pogranicze Wołynia i Polesia, pod dowództwem Iwana Łytwynczuka „Dubowego”;
- Turiw – na terenach obecnego obwodu wołyńskiego (dowódca Jurij Stelmaszczuk „Rudyj”);
- Bohun – w okolicach Równa, Krzemieńca i wschodniego Podola (Petr Olijnyk „Enej”);
- Tjutjunnyk – ziemie dzisiejszego obwodu żytomierskiego (Fedir Worobec „Wereszczak”).

Dalej na wschód UPA się nie zakorzeniła. Partyzantka sowiecka była zbyt silna, a ludność tamtejsza nazbyt niechętna udzielaniu pomocy. Natomiast w Małopolsce Wschodniej UPA zorganizowała osiem okręgów wojskowych, obejmujących: Lwów; obwód lwowski; obwód tarnopolski; obwód stanisławowski; obwód drohobycki; powiaty leski, przemyski, jarosławski; Bukowinę; Ukrainę Zakarpacką.

W 1943 r. UPA miała pod bronią 15 tys. ludzi, a rok później – podczas pełnej mobilizacji i jednoczesnej walki z Sowietami i Armią Krajową – nawet do 35 tys. Natomiast w 1946 r. pozostała w szeregach już tylko dziesiąta ich część. W momencie decydującej walki o niepodległość siły zbrojne UPA miały stanowić regularne wojsko, z korpusami i dywizjami (podobnie jak AK...). Udało się natomiast formować najwyżej pułki (partyzanckie zahiny). Niżej występowały – tak potwornie zapisane w polskiej pamięci – kurenie (bataliony), sotnie (kompanie), czoty (plutony), roje (drużyny) oraz łanki (sekcje). Latem 1944 r. sotnia liczyła do 200 ludzi, a w 1946 r. – 50...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ludobójstwo na Wołyniu i w Galicji Wschodniej 1943–1944





Wołyń Trupich Pól



Piotr Zychowicz

Dzieci nabite na sztachety płotu, kobiety z wyciętymi płodami, księża topieni w studniach. Nigdy Polacy nie byli mordowani tak bestialsko jak na Wołyniu i w Galicji Wschodniej

Ułożyli nas rzędem. Twarzami do ziemi. Mama, ciocia, babcia i inni krewni. Ja leżałem obok mamy. Przytuliła mnie mocno – opowiadał mi Aleksander Pradun. – Potem usłyszałem wystrzały. Każdy kolejny coraz bliżej. Potężna eksplozja ogłuszyła mnie. Poczułem podmuch powietrza i moją głowę oraz kark ochlapały krew i części mózgu mamy. Zacharczała i jej ręka stężała. Modliłem się, czekając na śmierć, na kulę przeznaczoną dla mnie. Usłyszałem jednak, że kolejny strzał padł już za mną, zabijając kolejną osobę. Przeoczyli mnie”.

Pradun leżał bez ruchu, udając trupa, a wokół trwała rzeź. Słyszał strzały,

krzyki przerażonych, konających ludzi, błagania o litość, przekleństwa oprawców. Czerwone, kłuszące mrówki obeszły mu całą twarz. Leżał w niewygodnej pozycji, w brzuch wbijał mu się ścięty pniak. Wiedział jednak, że jeżeli się poruszy, to natychmiast zginie. Wreszcie kanonada ucichła, mordercy dobili rannych kolbami karabinów i poszli.

„Słyszałem jeszcze, jak na odchodnym sztydził ze swoich ofiar – relacjonował Pradun. – Krzyczeli: »Tu leżą zabite polskie mordy!«. Po pewnym czasie ostrożnie podniosłem się z ziemi. Wokoło zobaczyłem kilkaset zakrwawionych trupów. Byłem w szoku. Zawolałem: »Kto żyw, niech ucieka!«. Wstało jeszcze kilka osób i odeszliśmy w stronę płonącej wsi. Chociaż minęło 70 lat, to nadal trudno o tym mówić. To, co wtedy widziałem, prześladowe mnie do dziś...”.

Aleksander Pradun w momencie, gdy rozegrała się ta scena, miał 13 lat. Mieszkał w miejscowości Ostrówki na Wołyniu. 30 sierpnia 1943 r. na tę miejscowość napadł kureń Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), dowodzony przez „Łysęgo”. Mężczyzn i starszych chłopców zamordowano we wsi, roztrzaskując im czaszki. Siekierami, pałkami, maczugami i mło-

tami do uboju bydła. Kilka osób zostało utopionych w studniach, a miejscowemu księdzu ucięto głowę.

Kobiety i dzieci planowano spalić żywcem w kościele, ale na miejsce przybył niemiecki patrol i zaczął strzelać do upowców. Wycofali się więc na pobliskie pole, pędząc przed sobą przerażonych Polaków. To właśnie tam doszło do masakry, w której zginęła mama Praduna. „Ukraińiec strzelił do dziecka – wspominał jeden z ocalałych. – Lat może trzy-cztery. Pocisk zerwał mu czaszkę i to dziecko wstało, a następnie, płacząc, biegło to w jedną, to w drugą stronę, z otwartym, pulsującym mózgiem”.

Ciała 250 polskich kobiet i dzieci leżały na polanie przez kilka dni. Nocami żerowały na nich dzikie zwierzęta. Wreszcie gdy ciała znalazły się w zaawansowanym stadium rozkładu, UPA spędziła na miejsce Ukraińców z jednej z sąsiednich wsi i kazała je pogrzebać. Ofiary spoczęły w olbrzymiej, masowej mogile. Miejsce to mieszkańcy nazwali później Trupim Polem, bo jeszcze przez wiele lat deszcze wymywały tam ziemię i na powierzchni pojawiały się ludzkie szczątki.

Wieczorem po masakrze mordercy urządzili w lesie huczną ucztę, podczas której samogonem opijali „zwycięstwo”

i dzielili się łupami. „Łysy” w sprawozdaniu dla referenta krajowego Prowidu OUN „Ołeha” raportował: „Zlikwidowałem wszystkich Polaków od małego do starego. Wszystkie budynki spaliłem, a mienie i bydło zabrałem dla potrzeb kurenia”.

Historycy oceniają, że w Ostrówkach zamordowano ok. 500 Polaków, a w Woli Ostrowieckiej – ok. 600. Do tego jeszcze kilkuset ludzi w okolicznych miejscowościach. W sumie 1,7 tys. osób. Była to jedna ze zbrodni składających się na ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. W latach 1943–1945 na tych terenach – jak ocenia znakomita badaczka Ewa Siemaszko – Ukraińcy zgładzili ok. 130 tys. ludzi.

DLACZEGO?

Mordercy wywodzili się z dwóch grup. Jedni byli żołnierzami UPA, która z kolei stanowiła zbrojne ramię skrajnie szowinistycznej, totalitarnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). W przypadku tych ludzi motywem działania była zbrodnia ideologia. Drudzy wywodzili się z miejscowego ukraińskiego chłopstwa, byli sąsiadami ofiar. W ich przypadku motywem działania była na ogół chciwość. Swoje ofiary ograbiali bowiem z dobytku.

To jednak OUN rozpoczęła spiralę mordów, to ona dała sygnał do „rzezania Lachów” już zresztą w roku 1939, gdy II RP załamała się w wyniku wspólnego niemiecko-sowieckiego uderzenia. Ukraińscy bojówkarze na terenie Galicji Wschodniej opanowywali wówczas drogi, mosty, niszczyli linie komunikacyjne, zajmowali urzędy pocztowe i posterunki, a nawet całe miasteczka. Dochodziło też do pierwszych, wyjątkowo brutalnych ataków na polską ludność cywilną. Do pacyfikacji doszło w Koniuchach, Potutorowie, Sławentynie i kolonii Jakubowce. W miejscowościach tych wymordowano po kilkadziesiąt osób. Z dymem puszcza- no także polskie dwory, ścigano osadników wojskowych i ich rodziny.

Szybkie opanowanie ziem wschodnich przez Armię Czerwoną sprawiło jednak, że rebelia prędko wygasła. OUN nie zrezygnowała jednak ze swoich planów. Czekala na kolejną okazję. Plany te były zaś niezwykle proste: usunąć Polaków z „rdzennych ziem ukraińskich”, aby stworzyć samoistną Ukrainę dla Ukraińców.

Na początku w rozmaitych dyskusjach i projektach działacze OUN opowiadali się raczej za „ostatecznym rozwiązaniem kwestii polskiej” poprzez masową emigrację. Za wyrzuceniem Polaków za San.

Eksterminację przewidywano tylko dla „wyjątkowo zatwardziały” przedstawicieli elit. Z czasem jednak, pod wpływem wielkiego wrażenia, które na nacjonalistach ukraińskich zrobił Holokaust, plan zmieniono. Zginać mieli wszyscy Polacy.

„Jeżeli chodzi o sprawę polską – oceniał na początku 1943 r. jeden z oficerów UPA – to nie jest to zagadnienie wojskowe, tylko mniejszościowe. Rozwiązujemy je tak jak Hitler sprawę żydowską. Chyba że Polacy usuną się sami”. Ponieważ przywódca OUN Stepan Bandera siedział wówczas w niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, plan wcielenia jego rasistowskich koncepcji w życie wzięli na siebie dowódcy niższego szczebla.

Jednym z nich był Dmytro Kłaczkiwski „Kłym Sawur”, członek prowidu OUN.



W czerwcu 1943 r. wydał on tajną dyrektywę „całkowitej, powszechnej, fizycznej likwidacji ludności polskiej”. Zgładzeni mieli być wszyscy Polacy. Bez różnicy – młodzi czy starzy, kobiety czy mężczyźni. Na celowniku znaleźli się także Ukraińcy z rodzin mieszanych oraz ci, którzy pomagali Polakom lub odmawiali brania udziału w rzezi.

JAK?

Podczas II wojny światowej naród polski padł ofiarą wielu zbrodni. Mordowali nas Niemcy, mordowali bolszewicy, w podwileńskich Ponarach mordowali nas Litwini, a podczas Powstania Warszawskiego Turkmeni i Azerowie. Żadne zbrodnie na narodzie polskim nie

przybrały jednak tak makabrycznej, tak mrożącej krew w żyłach formy jak ludobójstwo na Wołyniu. Był to istny horror.

Już pierwszy mord, dokonany w Parośli 9 lutego 1943 r., miał wyjątkowo bestialski przebieg. Upowcy okrążyli wieś i podali się za sowieckich partyzantów. Kazali się nakarmić i napić. Po zakończeniu obiadu oznajmili Polakom, że muszą ich związać, aby Niemcy nie oskarżyli mieszkańców o współpracę z bolszewikami. Skrępowanych sznurami ludzi Ukraińcy położyli twarzami do ziemi.

Natychmiast rozpoczęła się masakra. Polacy – ok. 150 osób – zostali zamordowani siekierami. Na początku pojedynczymi uderzeniami w głowę, z czasem napastnicy wpadli jednak w jakiś krwawy amok. Niektóre ofiary zostały porąbane

na sieczkę. Dzieci zabijano uderzeniami obuchów. Jeden z noworodków został przygwożdżony do stołu nożem kuchennym z taką siłą, że później nie można było uwolnić ciała. Parośla przestała istnieć.

Mordy na Wołyniu osiągnęły apogeum w lipcu 1943 r. Wówczas jednej nocy ginęło po kilka tysięcy ludzi. Zdecydowanie najkrwawszym dniem był 11 lipca – tzw. wołyńska krwawa niedziela – w którym to dniu spacyfikowanych zostało blisko 100 polskich miejscowości.

Wołyn w owych dniach wyglądał jak piekło na ziemi. Za dnia niebo spowite było kłębami gęstego, czarnego dymu, w nocy jaśniała luną trawiących polskie wsie pożarów. Po polach niosły się złowrogie,



Baza samoobrony w Przebrażu. Uchodźcy ze wsi zagrożonych atakiem UPA. Fot. Zbigniew Siemaszko

■ ponure pieśni, w kuźniach wykuwano broń, a w cerkwiach popi święcili noże mające oddzielić „polski kąkol od ukraińskiego zboża”. Drogami i polami przemieszczały się oddziały UPA. Ich członkowie byli czarni od prochu i zakrzepłej krwi ofiar.

Mordy dokonywane na Polakach noszą wszelkie znamiona mordów rytualnych. W epoce broni palnej używano bowiem do nich noży, cepów, kos, siekier, wideł, prętów, orczyków, specjalnych maczug i sztyletów. Ludzi przeryzano na pół piłami do drewna, topiono w studniach, palono żywcem, rozrywano za pomocą koni. Wycinano ofiarom języki i genitalia, wyłupiano oczy. Zdzierano żywcem skórę, nabijano na pal.

Kobiety były gwałcone, obcinano im piersi, wbijano rozmaite przedmioty w krocze. Ciężarnym wyrzynano z brzuchów płody i nabijano je na widły. Zdarzały się również przypadki, że noworodki nadziewano na sztachety płotów. Główni dzieci były rozbijane na polnych kamieniach lub na kantach kaflowych pieców. Była to prawdziwa orgia okrucieństwa i makabry, która nie miała sobie równych w naszych tragicznych dziejach.

Znany jest przypadek, że pewien Ukraińiec zdekapitował całą rodzinę swoich polskich krewnych, a następnie posadził ciała przy stole. Głowy umieścił zaś na stojących przed nimi talerzach. Dlaczego tak straszliwie znęcano się nad tymi Polakami? Zbrodnie na Wołyniu opisywali historycy, publicyści, politycy, pisarze i poeci. Nikt jednak nigdy nie był w stanie udzielić przekonującej odpowiedzi na to pytanie. Tego po prostu nie da się wytłumaczyć.

OBOJĘTNOŚĆ

Niemieckie władze okupacyjne na ogół nie mieszały się do – jak to określały

– „polsko-ukraińskich porachunków”. Raz, że nie miały specjalnej ochoty się narażać. Dwa, że nie bardzo miały jak interweniować. W owym czasie Rzesza robiła już bokami, Niemcy utrzymywali na Wołyniu tylko większe miejscowości i linie kolejowe, a na prowincję woleli się nie wypuszczać. Ograniczyli się więc do wydania znikomej ilości broni lokalnym polskim samoobronom.

Do pomagania mordowanym Polakom – jest to rzecz wyjątkowo przykra – nie paliło się również Polskie Państwo Podziemne. Gehenna rodaków z dalekiego, prowincjonalnego Wołynia niespecjalnie interesowała oficerów z warszawskiej Komendy Głównej AK zajętych organizowaniem powstania. Mimo błagalnych próśb na Wołyn przysłano jedynie grupę oficerów oraz jedną kompanię złożoną z kilkudziesięciu ludzi. Nastąpiło to jednak w marcu 1944 r., a więc blisko rok po apogeum mordów.

Również miejscowa Armia Krajowa zmobilizowała i uzbroiła swoich żołnierzy dopiero na początku 1944 r. Stworzona w ten sposób 27. Wołyńska Dywizja Piechoty zamiast do obrony rąbanych siekierami polskich kobiet i dzieci została rzucona do akcji „Burza”. Czyli do pomagania Armii Czerwonej w zdobywaniu ich ojczyzny. Część wołyńskich żołnierzy została od razu wyróżniona przez Niemców, resztę aresztowało i deportowało NKWD.

Gdy fala zbrodni w 1944 r. przelała się do Galicji Wschodniej – do województw tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego – sytuacja się powtórzyła. Znowu bestialskie mordy i znowu znikąd pomocy. Wywoływało to protesty ze strony galicyjskiego Stronnictwa Narodowego, które domagało się natychmiastowego wstrzymania samobójczej akcji „Burza”

i skierowania wszystkich sił na pomoc mordowanym Polakom.

„AK nie spełniła pokładanych w niej nadziei – napisano w jednym z dokumentów narodowców. – Nie ujęła w skuteczniejsze ramy samoobrony ludności polskiej. Nie pozwalała na stosowanie odwetu. Nie przeprowadzono stosownego dozbrojenia ludności polskiej, wskutek czego w wielu wypadkach bandy UPA nie natrafiły na żaden opór ze strony napadniętych Polaków”. Rozgoryczenie i żal do władz Polski podziemnej były wówczas na Wołyniu i w Galicji Wschodniej olbrzymie.

Ukraińscy nacjonaści mogą jawić się dzisiaj, po 70 latach, jako szaleńcy. Do „rzezania Lachów” przystąpili bowiem po klęsce niemieckiej pod Stalingradem, a więc gdy stało się jasne, że samoistna Ukraina w wyniku II wojny światowej nie powstanie. Wiadomo było bowiem, że Armia Czerwona wkrótce powróci i włączy Wołyn oraz Galicję Wschodnią do Związku Sowieckiego. Mordowanie Polaków w takiej sytuacji wydawało się więc absurdem.

Niestety, ta historia ma smutną puentę. Rzeczywiście II wojnę światową Ukraińcy – podobnie jak Polacy – przegrali. Minęły jednak cztery dekady i w 1991 r. wielka, samoistna Ukraina powstała. W jej granicach znalazły się i Wołyn, i Galicja Wschodnia, na terenach tych Polacy występują dzisiaj w ilościach śladowych. Ci, których nie wymordowano w latach 1943–1944, uciekli albo zostali deportowani za linię Curzona przez bolszewików. Wyrwano ich z tej ziemi z korzeniami. Ukraina – a przynajmniej jej zachodnia część – rzeczywiście jest dzisiaj krajem tylko dla Ukraińców. Marzenie Stepana Bandery się spełniło.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Mówią świadkowie



Członkowie samoobrony z Przebraża

FOT. ZBIGNIEW SIEMASZKO

Oto strzępy relacji Polaków, którzy przeżyli ludobójstwo na Wołyniu

W pierwszym zabudowaniu znaleźliśmy wstrząsający widok. Wbitego na ostry słup przy furtce kilkuletniego chłopca. Na parkanie był napis „Litak Sikorskiego” [Samolot Sikorskiego]. Przed progiem domu leżały trupy mężczyzn i dwóch kobiet okrutnie porąbanych siekierą. (Jerzy Krasowski)

W jednej z wiosek w pobliżu Derażnego po pogromie znaleziono w chacie małe dziecko z wyprutymi wnętrznościami. Jelita były rozpięte na ścianie w jakiś nieregularny sposób, a na jednym z gwoździ wisiła kartka z napisem: „Polska od morza do morza”. (Wincenty Romanowski)

Kilku banderowców podbiegło do mojej mamy i jeden z nich uderzył ją w głowę siekierą. Mama upadła i wypuściła z rąk brata Tadzia, a ja z przerażenia krzyczałam. Mama czując się, przycgnęła do siebie płaczącego i zakrwawionego Tadzia, dała mu pierś. Po niedługiej chwili ponownie podbiegli banderowcy do mojej mamy i podciągli jej gardło. Jeszcze żyła, kiedy zdarli z niej szaty i po-

odcinali jej piersi. Mama i Tadzio bardzo się męczyli. Mama z bólu powyrywała sobie długie włosy z głowy, była strasznie zmieniona, bałam się jej.

Pobiegłam do tatusia i widziałam, jak bardzo go bili. Widziałam, jak naszej sąsiadce, Wasylkowskiej, odrąbywali na pieńku głowę. Mój krzyk był tak przerażający, że jeden z banderowców podbiegł do mnie i z rozmachem wbił mi nóż troszeczkę poniżej gardła, a ja dalej krzyczałam i ze strachu nie mogłam się ruszyć z miejsca. Banderowcy krzyczeli po imieniu do ojca, a ojciec też po imieniu błagał Iwana, bo ciągle przychodził do naszego tatusia jako przyjaciel.

Kiedy po raz drugi mnie ujrżeli, postanowili skończyć ze mną, raniąc prawą dłoń nożem i przebijając na wylot, a lewą rękę raniąc przed łokciem dwa razy. Upadłam. Jeden z banderowców chwycił mnie za skórę na plecach, tak jak się łapie kota, i tyle, ile miał skóry w garści, odciął nożem. Potem jeszcze dwa razy ugodził nożem w łopatki i wrzucił mnie w ogromny kopiec mrówek. Chyba straciłam przytomność i jak się ocknęłam, bardzo byłam obolała, a mrówki tak mnie pogryzły, że byłam bardzo spuchnięta. Odrąbana i leżąca obok głowa sąsiadki była cała pokryta mrówkami. (Irena Gajowczyk)

Przy jednym z trupów kobiet siedziało dwoje małych dzieci, które rozpaczliwie wołały:

– Mamo, mamo! Obudź się! Jesteśmy głodne! Chodź z nami do domu! (Zofia Araszewicz)

W drodze powrotnej z Buczacza mój ojciec został zatrzymany na drodze przed Petlikowcami przez trzech Ukraińców banderowców. Michała Druzaka i braci Iwana i Michała Maryniaków, którzy zaczęli go bić. Ojciec podobno się bronił, ale wobec przewagi stopniowo tracił siły. Oprawcy zaciągali go na podwórze znanego banderowca Pawła Leszcza. Ten dołączył do trójki morderców i ojca związano drutem kolczastym. Oprawcy przywiązali go linką do konia i pociągali po kamienistej drodze pod wieś Przywłoka. Tam po odwiązaniu obciążyli kamieniami i półmartwego wrzucili do rzeki Strypy w miejscu zapory wodnej Zabrodzie. (Bronisława Drozda)

Nad ranem znalazłem na podwórzu zwłoki mojego ojca. Leżał w pobliżu pnia służącego do rąbania drewna i miał poderżnięte gardło. Matkę znalazłem w mieszkaniu. Miała ślady kilku uderzeń młotkiem w głowę, a na gardle ranę kłutą bagnetem na wylot. Siostra Helena otrzymała głęboki cios siekierą w głowę, tak, że morderca pozo-

stał w niej siekierę. Najmłodszy z braci, Edzio – lat 2 – leżał cały we krwi z roztrąskaną główką i wbitym nożem w piersi. Obok leżał 16-letni brat Broniek. To jego głos, błagający o litość, słyszałem w nocy najdłużej. Kiedy go oglądałem, sprawiał wrażenie bryły zmasakrowanego mięsa. Nogi i ręce miał połamane. To nad nim mordercy znęcali się najdłużej. (Michał Wojcyszyn)

Podczas „Gloria” padły pierwsze strzały do księdza Bolesława Szawłowskiego i do wiernych. W kościele byłem z siostrą. Jak usłyszałam, że mordercy chodzą po kościele i mówią: „O, toj jeszcze żywyj”, to szybko złapałam jakąś czapkę umoczoną w ciepłej, lepkiej krwi i potarłam nią twarz sobie i siostrze, udawałyśmy zabitych. Dym bardzo dusił, zatem ludzie usiłowali uciekać z kościoła. Ukraińcy krzyczeli: „Wychadi, chto żywyj”, a wychodzących zabijali w drzwiach. Usiłowano kościół wysadzić w powietrze, ale poczuliśmy tylko okropny wstrząs i wszystko ucichło. (Jadwiga Krajewska)

Widziałem zamordowanego swego koleżę, a jednocześnie wspaniałego ucznia. Nazywał się Prończuk. Gdy banderowcy mordowali jego matkę, rzucił się jej na pomoc. Oprawcy odrąbali mu ręce oraz nogi i położyli na taborecie. Umarł z upływu krwi. (Władysław Tołysz)

Na Wielkanoc do Hermanówki na rezurekcję poszło 20 chłopaków. Żaden z nich nie wrócił. Wszyscy zostali pomordowani, i to w okrutny sposób. Najstarszy z nich miał tylko głowę przekręconą w drugą stronę. Młodszych Ukraińcy męczyli w bar-dziej wyrafinowany sposób. Mieli obcięte języki, genitalia, obdzierano ich ze skóry. Byliśmy tym wstrząśnięci. (Adam Kownacki)

(wybór p.z.)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Źródła: Grzegorz Motyka „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«”, Lucyna Kulińska „Dzieci Kresów I”, Marek A. Koprowski „Wołyń. Epopeja polskich losów. Akt I i II”.



Tomasz Stańczyk

Oddział UPA wymordował w miasteczku 82 Polaków, którzy przyszli na mszę. Ocalałym pomogło kilku Ukraińców – sąsiadów

Kisielin był miasteczkiem w powiecie horochowskim województwa wołyńskiego, między Włodzimierzem Wołyńskim i Łuckiem. Dzisiaj leży 60 km od granicy polsko-ukraińskiej. Swoją nazwę wziął od dawnych właścicieli – Kisielów, których najwybitniejszym przedstawicielem był Adam Kiesel, Rusin, wojewoda kijowski, rzecznik zgody między Polakami i Kozakami. Gdy wybuchła II wojna światowa, Kisielin liczył około tysiąca mieszkańców. Połowę z nich stanowili Żydzi, połowę Polacy i Ukraińcy – po 25 proc. ludności. Przed wojną Polacy i Ukraińcy żyli dość zgodnie. Aniela Dębska wspominała, że do jej ojca, Antoniego Sławińskiego, przychodzili sąsiedzi Ukraińcy, by pomóc przy młóceniu. A ona szła pomagać im. Jednak miało się okazać, że wojna wszystko odmieniła, a może po prostu uwolniła skrywane złe emocje.

Jeszcze przed nadejściem Armii Czerwonej, we wrześniu 1939 r., niektórzy Ukraińcy i Żydzi szykowali się na jej powitanie. Włodzimierz Sławosz Dębski, autor monografii Kisielina („Było sobie miasteczko”), jego mieszkaniec, zapamiętał triumfalne okrzyki: „Skończyła się ta wasza Polska”. Dwa lata później okupacja sowiecka ustąpiła niemieckiej. „Po wejściu Niemców sąsiedzi i znajomi Ukraińcy przestali się kłaniać i odpowiadać na pozdrowienia Polaków. Czernysz, dawny »buchalter« z gminy, zostając szefem rejonu, na dźwięk polskiej mowy tubalnym głosem wykrzykiwał: »Ja toho kaczoho jazyka nie rozumiuju« (Ja tego kaczego języka nie rozumiem)” – pisał Dębski.

W sierpniu 1942 r. Niemcy i policjanci ukraińscy wymordowali kisielińskich Żydów. Polscy historycy uważają, że przykład Holokaustu zachęcił ukraińskich nacjonalistów z OUN, których zbrojnym ramieniem była Ukraińska Powstańcza Armia, do pozbycia się w ten sam sposób Polaków z Wołynia.

W marcu 1943 r. ze służby niemieckiej zdezerterowali ukraińscy policjanci z Ki-



Zbrodnia i ocalenie w Kisielinie

sielina, zasilając szeregi UPA. Nazajutrz po opuszczeniu przez nich posterunku zostało zamordowanych kilku Polaków.

Było to preludium do masowego mordu w niedzielę 11 lipca 1943 r. Tamtego dnia nastąpiło apogeum mordów na Wołyniu. Nieprzypadkowo UPA wybrała niedzielę, gdy Polacy brali udział we mszy świętej. Banderowcy nie musieli wyciągać ich z domów. Wystarczyło podejść pod kościół.

NIE OSZCZĘDZANO NAJMŁODSZYCH

Tak właśnie było również w Kisielinie. Wychodzący ze świątyni Polacy z miasteczka i okolicznych wiosek zobaczyli uzbrojonych upowców. Wiedzieli, co to może znaczyć. Wieści o mordach dokonywanych przez UPA dotarły już do Kisielina.

Aniela Dębska opowiadała autorowi tego artykułu w wywiadzie opublikowanym w „Rzeczpospolitej”: „W maju 1943 r. przyjechał spod Łucka stryjeczny brat mojego późniejszego męża z wiadomością, że zamordowali jego rodziców i wrzucili ciała do studni. Matka już wtedy chciała uciekać do miasta, gdzie było bezpieczniej. Ojciec mówił jednak: Jak tu

wszystko zostawić? Nic przecież nikomu nie zrobiliśmy. Tamtego dnia zaszła do nas na śniadanie Nastia, Ukrainka, której syn pracował w naszym gospodarstwie. »Didki, jeszcze wam хочetzsa spiwaty?« – zapytała mnie i siostrę. W jej głosie, jak teraz myślę, było współczucie, lecz nic nie powiedziała”.

Polacy cofnęli się do kościoła, zamknęli drzwi. Część z nich przeszła ze świątyni do plebanii. Upowcy zaczęli krzyczeć i wzywać, by wychodzić z kościoła. Część Polaków usłuchała. Może zareagowali na czyjeś słowa, że widać kogoś chcą odszukać, wezmą go, a resztę zostawią w spokoju.

Zostali zamordowani. Upowcy nie oszczędzili nawet trojga dzieci w wieku pięciu–ośmiu lat. Jedną z 82 ofiar była Jadwiga Dobrowolska ze wsi Rudnia, Włodzimierz Dębski, który opisał w swojej książce tragiczny dzień Kisielina, wspominał: „Młody Ukrainiec w cywilnym, za dużym na niego brązowym ubraniu strzelił jej w plecy. Gdy się zwała na ziemię, ściągnął z niej bluzkę i tanecznym krokiem pospieszył za grupą”.

Pisarz Włodzimierz Odojewski musiał znać opowieść Włodzimierza Dębskiego, gdyż w jego powieści „Zasypie wszystko,



Ruiny kościoła w Kisielinie
FOT. WIKIPEDIA



Ruiny kościoła w Kisielinie, widok z góry FOT. KADR Z FILMU DOKUMENTALNEGO
„NIEDOKOŃCZONE WOJENSKIE MSZE” TADEUSZA ARQUCHA I MAŁGOSIA WOJCIECHOWSKIEGO

zawieje...” jest taka scena: „Aż wreszcie ta chwila nadeszła. Ta pierwsza, zaciskająca krtań jakby kleszczami wprost do bólu chwila grozy. Gdy wyrzała przez okienko, słysząc wrzaski i strzały, i gdy nagle zobaczyła tych czarnosiecznych, rojących się niby robactwo wokół bramy przykościelnej, wskazujących do środka kościoła, wywlekających za włosy te biedne kobiety, które zdecydowały się nie ukrywać, ale zdać się na ich łaskę, i pod murem je strzałem pistoletu mordujących. Gdy zobaczyła, jak jednego z nich znęciła widać bluzka wyprowadzonej dziewczyny, więc strzelił jej w brzuch i jeszcze z kopiącej nogami ziemię tę bluzkę ostrożnie, żeby nie zabrudzić, ściągnął”.

MIELI TYLKO CEGŁY...

Tymczasem część Polaków zabarykadowała się na plebanii. „Gotowi do obrony zaczęliśmy tarasować drzwi klatki schodowej stojącymi obok kuframi i skrzyniami [...]. Wkrótce dołączyli do nas inni” – relacjonował Włodzimierz Dębski. Banderowcy zaczęli rąbać siekierą drzwi. Wtedy poderwał się starszy mężczyzna, Krupiński ze wsi Zabara, i także siekierą zaczął rąbać drzwi. Krzyknął: „Nim mnie zabiją, przynaj-

mniej rozwalę jednemu głowę” – wspominała pani Dębska. Ostrza siekier się spotkały. Na chwilę ochłodziło to zapal upowców. Byli wśród nich sąsiedzi Polaków z Kisielina. Do UPA przyłączyło się kilkunastu Ukraińców z miasteczka. To oni wołali: „Stachu, oddaj złoto, to ciebie wypuścimy. Józek, mamy twoją Andziu, to ją oddamy”.

Przez dziurę w drzwiach Polacy zaczęli rzucać cegłami wyrwanymi z muru na strychu. Padł przez nią strzał ze strony napastników. Śmiertelnie trafiony został jeden z obrońców. Upowcy chcieli wykurzyć Polaków ogniem, podpalając pod drzwiami słomę. Ogień gaszono moczem zbieranym do wiader. Napastnicy usiłowali dostać się do wnętrza plebanii po drabinie. Posypał się na nich grad cegieł, a także maszyna do szycia, która zvaliła na ziemię jednego z banderowców.

Zabarykadowani na plebanii nie mieli oczywiście broni palnej. Włodzimierz Dębski, członek konspiracji, pamiętał gorzkie słowa Krupińskiego: „Jak łązić i zakładać organizację, to was było pełno, broni, jak potrzeba, nie ma”. Dębski usprawiedliwiał się w duchu, że nie jest temu winien, był szeregowym członkiem konspiracji.

Budynek plebanii był ostrzeliwany, kule wpadały przez okna. Ksiądz Witold Kowalski udzielał rozgrzeszenia i spowiadał w przewidywaniu, że wszystkich czeka śmierć. Gdy usiłował zasłonić okno poduszką, został ranny. Obrońcom udawało się odrzucać część granatów, wybuchały na podwórku, wśród Ukraińców. Jednak odłamki jednego z granatów ciężko zraniły w nogę Włodzimierza Dębskiego. „Najbardziej pomogła mi

moja przyszła żona, Anielka Sławińska. Z grubo złożonych gazet zrobiła tampon, przyłożyła pod krwawiącym kolaniem i ciasno owinęła. To zatrzymało krwotok”.

Anielka Dębska wspominała: „Zajęłam się nim, jak umiałam. Był ranny w nogę. Wtedy poczułam, że jest mój. To były nasze prawdziwe zaręczyny”.

Włodzimierz Dębski po zranieniu nie mógł dalej walczyć. Zapamiętał, że obrońcy byli wyczerpani i zmęczeni, ale zachowywali się dzielnie. Jednak pisał w swojej książce także o „dekownikach”, którzy ukryli się na strychu.

Zapadła noc. Upowcy podpalili pobliskie zabudowania, oświetlając teren. Liczyli też, że ogień przeniesie się na plebanie. Po wojnie Włodzimierz Dębski namalował obraz przedstawiający płonącą obórkę, ostrzeliwaną plebanie i scenę śmierci krewnej swojej żony, 21-letniej Alfredy Sławińskiej.

Niedługo przed północą banderowcy dali za wygraną i opuścili Kisielin. W obronie plebanii, oblężonej przez 11 godzin, zginęło i zmarło z ran czterech Polaków.

Kilka dni później upowcy kazali przenieść ciała zabitych z dołu przy parku dworskim i pochować je przy dzwonnicy. Niewielu Polaków przyszło. Bali się, że to pułapka i że zostaną zabici. Adela Ziółkowska-Prejs relacjonowała: „Wykopano wtedy siostrę Antosię. Miała siedem klutych ran. Dziur na wylot nie było. Majtki miała ściągnięte, a więc była gwałcona. Miała wykłute jedno oko. Dziurę w pierśsiach, w prawej ręce i boku”. Gdy klęczała nad ciałem siostry i rozpacziała, podszedł do niej sołtys Jefrem Padlewski.



■ Powiedział: »Nie krzycz! Zaraz tobie te samo bude!«.

Rana Dębskiego była tak poważna, że uratować go można było, przewożąc do szpitala w Łokaczach. Podjęła się tego Ukrainka Paraska Padlewska. Po rzezi mieszkańcy Kisielina opuścili miasteczko. Włodzimierz Dębski wspominał, że byli Ukraińcy, którzy pomogli wówczas Polakom: Wołodimir Pałaczkuk i Petro Parfeniuk, który uratował rodzinę Czerwinków i Sławińskich, a także Wiktor Padlewski (jego bracia należeli do UPA) wspomagający rodzinę Filipków. Parfeniuk i Padlewski mieli żony Polki. »Uratowali je i pomogli uchronić się większości Polaków z Kisielina przed nożami upowskich bandytów» – pisał Dębski. Parfeniuk zapłacił życiem za pomoc Polakom. Zabili go upowcy.

Aniela Dębska wspominała Ukraińca Sawkę Kowtoniuka, który ukrywał w stodołę jej rodzinę i poszedł do lasu sprawdzić, czy droga z Kisielina jest wolna, czy nie ma tam upowców. Upiekł chleb dla uchodzących z miasteczka Polaków.

Fala mordów rozlała się po wsiach sąsiadujących z Kisielinem. Dzień po zbrodni w Kisielinie Ukraińcy z Twerdini zamordowali 64 swoich polskich sąsiadów. Tego samego dnia zabitych zostało 80 Polaków z Wólki Sadowskiej i ok. 140 z Rudni. Trzy dni później w kolonii Zabara wymordowano 35 Polaków. W powiecie horochowskim, w którym znajdował się Kisielin, Ukraińska Powstańcza Armia zamordowała, jak podają Władysław i Ewa Siemaszkowie, autorzy fundamentalnej pracy o zbrodniach na Wołyniu, co najmniej 2569 Polaków. Tamtego dnia,

11 lipca 1943 r., ofiarą mordów padli Polacy z 80 miejscowości powiatu.

... ALE WALCZYLI O UKRAINĘ

Włodzimierz Dębski przyjechał do Kisielina w latach 70. ubiegłego wieku. Chciał dowiedzieć się, kiedy i jak zginęli jego rodzice, którzy przepadli już po rzezi, znaleźć miejsce, gdzie spoczywają ich szczątki. Krzesimir Dębski, syn Włodzimierza, znany kompozytor (jest autorem symfonii ku czci ofiar zbrodni na Wołyniu), pisał w książce „Nic nie jest w porządku. Wołyń moja rodzinna historia”, że od miejscowych Ukraińców nie można było się jednak niczego dowiedzieć, a „tego, że oni wiedzą, co się stało z dziadkami, byliśmy pewni. Byłaby to zdumiewająca rzecz, gdyby było inaczej”.



Miało się okazać, że Ukrainiec z Kisielina, przyjaciel Włodzimierza Dębskiego, który obiecał, że dowie się czegoś o jego rodzicach, był w oddziale, który ich uprowadził i zamordował... Nie przyznał się do tego.

W 50-lecie zbrodni, z inicjatywy Włodzimierza Dębskiego, postawiono w Kisielinie krzyż z nazwiskami pomordowanych i poległych w obronie. W ruinach spalonego kościoła odprawiono mszę. Brali w niej udział także Ukraińcy. Jedna z ukraińskich mieszanek Kisielina powiedziała Anieli Dębskiej: „O tym, co się wtedy stało, my nie możemy nic mówić, nam zabronili”. A Włodzimierz Dębski usłyszał słowa: „No cóż, mordowali – źle zrobili, ale walczyli o Ukrainę”. I tak chyba myśli dziś bardzo wielu Ukraińców.

Krzesimir Dębski w książce „Nic nie jest w porządku” pisze o swoich pobytach w Kisielinie i o spotkaniach ze starymi Ukraińcami. „Jeździłem tam ze ściśniętym gardłem, mając w głowie obrazy z opowieści rodziców i ich znajomych, a spotykałem się z obojętnością, pustką. Albo podejrzliwością, a nawet wrogością u tych, którzy mają coś do ukrycia. Jednak nie z poczuciem winy. Wyobrażałem sobie, że trudno będzie im wytrzymać moje spojrzenie, a oni zachowywali się, jak gdyby nic się nie stało”. Te słowa tłumaczą tytuł książki.

Dębscy chcieli tylko odnaleźć miejsce, gdzie spoczywają ich rodzice i dziadkowie. Jak wielu innych, którzy stracili swoich bliskich podczas wołyńskiej rzezi. Odnaleźć i postawić krzyż.

Tylko tyle. Jednak dziś jeszcze wciąż nie jest to możliwe... © © Wszelkie prawa zastrzeżone

PIOTR WŁOCZYK: *Ilu członków rodziny stracił pan w czasie rzezi wołyńskiej?*

ZYGMUNT MAGUZA: Czterdziestu. To była rodzina ze strony mojej mamy, Wołynianki, bo tata pochodził z Warszawy. Jednego dnia, 11 lipca 1943 r., w „krwawą niedzielę”, straciłem dziadków, ciotcie, wujków, kuzynów. Zabito też wielu moich przyjaciół i kolegów. Rodziców na szczęście nie było wtedy na Wołyniu. Chociaż trudno tu też mówić o szczęściu: byli bowiem wtedy zesłani daleko w głąb Związku Sowieckiego wraz z moją młodszą o cztery lata siostrą Alicją. Po rzezi zostałem na Wołyniu praktycznie sam.

Chyba najstraszniejszy los spośród członków mojej rodziny dotknął moją matkę chrzestną, Stefanię Woźniczkę, i jej rodzinę. Została ona zamordowana w swoim domu w kolonii Jeżyn. Troje jej małych dzieci w wieku trzech, pięciu i siedmiu lat banderowcy wrzucili do studni. Ich ojciec i dziadkowie również zostali zamordowani.

Tego lata miałem zostać ojcem chrzestnym półrocznego dziecka. Poprosił mnie o to pan Józef Fiła, znajomy rodziców. To małe dziecko Ukraińcy rozerwali na pół, a jego matkę zastrzelili. Przeżył tylko ojciec, który podczas mordy schował się w lasku. Nie wszyscy byli wtedy bohaterami, bardzo wielu ludzi w momencie próby ogarniał paniczny strach przed utratą życia.

11 lipca był dla pana najpotworniejszy?

To był potworny dzień, ale najgorszy był 13 lipca. Poszedłem wtedy do domku dziadków w kolonii Witoldów, niedaleko Porycka, jakieś 20 km od mojej rodzinnej kolonii Chrynów. Byli ze mną wtedy m.in. Julian i Feliks Stankiewiczowie – moi „wujkowie”, czyli synowie dziadków. Tych wujków wziąłem w cudzysłów, bo pierwszy był tylko dwa lata starszy ode mnie, a drugi pięć lat.

Ten widok, który zastałem w środku domu... Dziadek leżał na podłodze na prawo od drzwi. Właściwie nie było widać głowy, była jakby wbita siekierą w ciało, w płuca. Ściany były zabрызgané krwią, na podłodze rozmazana była krwawa maź. Gdy chwyciłem ciało dziadka, fragment jego mózgu wyleciał na moją pierś. Babcia leżała obok dziadka porąbana wzdłuż ciała siekierą. Z lewej strony drzwi leżała ich 11-letnia córka, siostra mojej mamy, Weronika. Ona też była porąbana siekierą. W kuchni leżały łuski, czyli strzelano do dziadków.

Zygmunt Maguza FOT. DOMINIK ROZĄŃSKI



Z Zygmuntem Maguzą
rozmawia Piotr Włoczyk

Ocalony

Uciekłem śmierci spod topora...



Żołnierze 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty

FOT. ARCHIWUM

Przyszliście ich pochować?

Tak, ponieważ o ich śmierci dowiedzieliśmy się od kolejarzy już w poniedziałek. Prawie wszystkich Polaków z Witoldowa, w sumie sześć osób, bandyci z UPA zabili 11 lipca. Ciała dziadków i Weroniki przenieśliśmy z domu na podwórze, gdzie postawiliśmy zbite naprędcie trumny. Pochowaliśmy ich na podwórzu. Musieliśmy się jak najszybciej stamtąd wynieść, bo wiedzieliśmy, że w tym rejonie działała banda UPA. Uciekając, słyszeliśmy za nami strzały. Byliśmy jednak zbyt daleko, żeby kule mogły nam zrobić krzywdę.

Na stacji Iwanicze stał akurat pociąg, który od razu odjechał z nami w stronę Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie było bezpiecznie. Po raz kolejny w czasie rzezi udało mi się uratować życie. Matwiej Romaniuk kilka dni wcześniej zaprosił Juliana, Feliksa i mnie na zabawę do Witoldowa. Zabawa miała się odbyć w niedzielę. „Krwawą niedzielę”. Nie pojechalśmy, bo obawialiśmy się, że coś mogą nam zrobić. O bezpieczeństwo dziadka, babci oraz ich najmłodszego dziecka nie drżeliśmy przesadnie, bo przecież – tak nam się wtedy wydawało – takich ludzi się nie zabija.

Udało się panu ustalić nazwiska morderców pańskich dziadków?

Prawdę ujawnili sąsiedzi dziadków, państwo Kozibrodowie. To byli Ukraińcy, ale byli oni dobrze nastawieni do

Polaków. Mieszkali tuż obok dziadków, więc słyszeli odgłosy mordy, wiedzieli, kto to zrobił.

Spotkał pan po wszystkich któregoś z zabójców?

Po latach stanąłem twarzą w twarz z jednym z nich. To było 15 maja 1990 r. Pojechałem do Witoldowa z „wujkiem” Julianem Stankiewiczem i moją siostrą Alicją, by zapalić znicz na grobie dziadków. Budynków nie było już żadnych, było tam tylko pole kołchozowe. Nie było ani drogi, ani sadu, wszystko zrównano z ziemią. Po drodze, w wiosce Iwanicze, gdzie wsiedliśmy 13 lipca 1943 r. do pociągu, uciekając przed UPA, spotkaliśmy w polu państwa Kozibrodów, którzy przenieśli się tam z Witoldowa. Pan Kozibroda rozmawiał z jakimś mężczyzną. Wyskoczyłem z samochodu i przywitałem się z serdecznym sąsiadem dziadków. Uściskaliśmy się mocno. Spojrzałem na mężczyznę obok, ale go nie rozpoznałem. Pan Kozibroda powiedział mi za chwilę, kto to jest...

Zabójca moich dziadków zrobił się błąd i momentalnie rzucił się do ucieczki w kierunku swojego domu. Chciałem iść do niego i zapytać go, dlaczego zamordował moich dziadków i Weronikę. Żona pana Kozibrody prosiła mnie jednak, żebym nic nie robił, bo bała się problemów z jego strony. Moja siostra też prosiła mnie, żebyśmy jak najszybciej

stamtąd pojechali. I tak też zrobiliśmy, choć bardzo chciałem złożyć wizytę temu człowiekowi...

Udało się komuś z pańskiej rodziny przetrwać rzeź?

W całej tej tragedii zdarzyły się dwa cuda. W kolonii Gurów ofiarą UPA padły moja kuzynka Regina Stankiewicz, jej malutka, półtoraroczna, najmłodsza córeczka, a także matka Reginy. Bandyci z UPA wdarli się do domu i zaatakowali bezbronną kobietę, która zaczęła zasłaniać siebie i troje swych dzieci poduszkami. Dwoje zdołała ochronić. Siedmioletnia Halinka i pięcioletnia Natalia były bardzo ciężko ranne, pokłute bagnetami. Ocalał je ukryty na podwórzu ojciec, który bezsilnie czekał na odejście ukraińskich bandytów. Te cudem ocalone dziewczynki dziś nazywają się: Halina Adamowicz (żyje w Braniewie) oraz Natalia Oręziak (mieszka w Morągu).

Jednak ja też cudem ocalałem, nawet kilka razy udawało mi się uciec śmierci spod topora. Ukraińcy wydali na mnie wyrok śmierci, bo byłem synem osadnika wojskowego. Przez długie miesiące tulałem się po Wołyniu od wsi do wsi, od jednej rodziny do drugiej. Czułem się jak zwierzyna łowna. Raz złapali mnie, jak jechałem konno. Naradzali się, co ze mną zrobić. Ja w tym czasie połem konia. Wiedziałem, że to będą moje ostatnie chwile, jeżeli czegoś nie zrobię. Ukraińcy stali tuż obok mnie, ale niewiele myśląc, wskoczyłem na konia i pędem ruszyłem przed siebie. To było szalone, ale się udało. Padły strzały, żaden mnie nie drasnął, tylko koń odniósł powierzchowną ranę.

Innym razem, gdy wraz z kilkoma Polakami ukryłem się w domu, na podwórzu wleciało dwóch upowców. Jeden z nas nie wytrzymał nerwowo, chwycił za siekierę i narobił hałasu. Ukraińcy zorientowali się, że ktoś się ukrywa w domu. Wezwali innych bandytów na pomoc. Zanim jednak okrzykli tę chałupę, my wyskoczyliśmy przez okno i pobiegliśmy w zboże.

Jakieś pół roku później, gdy byłem już w polskiej samoobronie w kolonii Bielin, mieliśmy pojechać z kolegami furmanką na patrol. Było zimno, więc pobiegłem po ciepłe rzeczy do bazy. Koledzy odjechali beze mnie. Krzyczałem z nimi, żeby zaczęli... Godzinę później do bazy przybiegł koń, ciągnąc za sobą złamany dyszel. Dalej w rowie znaleźliśmy furmankę



Zamordowana rodzina Rudnickich
z Chobułtowej na Wołyniu FOT. OŚRODEK KARTA

i pięciu zabitych. Wykończyli ich Ukraińcy. Gdyby nie to, że zbyt lekko się wtedy ubrałem, to też leżałbym z nimi w rowie.

Jak to się stało, że jako jedyny z rodziny nie został pan wywieziony przez Sowietów na Wschód?

1 września 1939 r. miałem pójść do Korpusu Kadetów we Lwowie. Zamiast tego po przegranej kampanii wrześniowej poszedłem do sowieckiego gimnazjum w Sokalu. Po prostu nie było mnie w domu w Chrynowie, gdy 10 lutego 1940 r. moja rodzina została wywieziona w głąb ZSRS. Rodzice i siostra cudem przeżyli zesłanie i wrócili dopiero w 1946 r. Ja oczywiście też prędzej czy później zostałbym deportowany na Wschód, ale na szczęście moja nauczycielka języka rosyjskiego była żoną wysoko postawionego funkcjonariusza NKWD w Sokalu. Polubiła mnie i gdyby nie jej wstawiennictwo, to albo by mnie rozstrzelali, albo wywieźli na Sybir.

Po niemieckim ataku na ZSRS o szkole nie było już oczywiście mowy. Tułałem się po rodzinie rozsianej po całej okolicy, ale starałem się też dbać o rodzinny majątek. Daremnie czekałem na powrót rodziców i siostry. Sadziłem nawet ziemniaki, żeby w razie czego mieli co jeść.

Pojawiałem się w naszym gospodarstwie z doskoku, bo nie mogłem mieszkać we własnym domu – jak już powiedziałem, ukraińscy nacjonaliści wydali na mnie, syna osadnika wojskowego, wyrok śmierci.

Służba ojca w wojsku, dla mnie wielki powód do dumy, w tamtych warunkach była niebezpieczna dla naszej rodziny. Za zasługi w wojnie polsko-bolszewickiej

ojciec dostał bowiem Krzyż Srebrny Virtuti Militari. Przez ten order raz najadłem się mnóstwo strachu. Jesienią 1939 r. pojawili się u nas w domu NKWD-ziści. Byli bardzo grzeczni, co mnie bardzo zdziwiło, bo tuż po powrocie ojca z kampanii wrześniowej sowiecki żołnierz chciał go rozstrzelać pod ścianą naszego domu. Uratowaliśmy go z siostrą, wieszając się na jego rękach, płacząc wniebogłosy i błagając Sowietów, żeby nie zabijali ojca.

NKWD-ziści przyszli z kwestionariuszem i wypytывali ojca o służbę wojskową. Pytali też, czy ma jakieś order. Ojciec oczywiście zaprzeczył. Miałem wtedy 14 lat, nie rozumiałem jeszcze tych spraw. Odezwałem się więc w dobrej wierze: „Przecież tatuś ma Virtuti!” . Gdy zobaczyłem, jak ojciec zaprzecza, zrozumiałem swój błąd. Miałem wyrzuty sumienia, że zaszkodziłem ojcu. Jednak w rzeczywistości nic to nie zmieniło w naszej sytuacji, bo funkcjonariusze NKWD i tak świetnie znali przeszłość mojego ojca.

Jak się wam żyło z Ukraińcami przed wojną?

Zupełnie poprawnie. My, polskie rodziny osadników wojskowych, mieszkaliśmy w kolonii Chrynow. Obok, w wiosce Chrynow, mieszkali sami Ukraińcy, których wtedy nazywaliśmy Rusinami. Mój ojciec był członkiem lokalnego samorządu, często pomagał Ukraińcom, więc generalnie cieszył się szacunkiem. Z kolei moja mama przepięknie śpiewała i nasi ukraińscy sąsiedzi zapraszali ją na swoje wesela. Początkowo mieszkańcy wsi Chrynow mieli osadnikom wojskowym za złe, że dostali oni od polskiego rządu ziemię, która – w mniemaniu Ukraińców –

nie należała się im. Z biegiem lat jednak te początkowe animozje odeszły w cień i obie społeczności nauczyły się żyć obok siebie. Dlatego ten wybuch nienawiści, barbarzyństwa był tak nieoczekiwany, niezrozumiały.

Wciąż nie potrafi pan tego pojąć?

Wiem, co było powodem tej niebывałej zbrodni, ale nie potrafię zrozumieć, jak można było tak nisko upaść. Ukraińców opętała nienawistna ideologia, w imię „czystości ukraińskich ziem” chcieli zetrzeć w proch polskość.

To zaślepienie dobrze widać na przykładzie Ukraińca Leona Rybki, znajomego moich rodziców. Przed wojną Rybka nieraz bawił się ze mną, nigdy bym się nie spodziewał jakichkolwiek problemów z jego strony. W czasie rzezi wołyńskiej chciał mnie zabić... Na szczęście uratował mnie znajomy Polak, Michał Okulski, który złapał Rybkę za rękę i nie pozwolił mu do mnie strzelić. Rybka miał wtedy w oczach obłęd. Generalnie jednak poza Rybką reszta moich ukraińskich sąsiadów traktowała mnie w tamtym potwornym okresie dobrze. To napływowi Ukraińcy, bandyci z UPA, byli najgorsi.

Mogę wybaczyć sprawcom tej zbrodni, ale nigdy tego nie zapomnę i nie mogę się pogodzić z tym, że jeszcze dziś na Ukrainie czci się morderców. Żeby zabić mojego dziadka, babcię i Bogu ducha winną 11-letnią Weronikę? Żeby zabijać Polaków w kościołach?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zygmunt Maguza (ur. 1925) był mieszkańcem kolonii Chrynow na Wołyniu. Służył w 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty.